

Prolog

Mleczna jasność przenikająca zasłonę zwiastuje nadejście poranka. Ból w piętach, głowa jak kowadło i rodzaj skafandra krępującego całe ciało. Powoli półmrok opuszcza mój pokój. Patrzę na fotografie bliskich, na dziecięce rysunki, na plakaty, na blaszanego cyklistę, nadesłanego przez kolegę w przededniu wyścigu Paris–Roubaix, i na wyciąg górujący nad łóżkiem, do którego jestem przykuty od sześciu miesięcy jak kamienny bernardyn do skały.

Nie muszę długo się zastanawiać, by zorientować się, gdzie jestem, i przypomnieć sobie, że odpadłem od życia w piątek, 8 grudnia zeszłego roku.

Wcześniej nigdy nie słyszałem o istnieniu rdzenia przedłużonego. Tego dnia, kiedy raptowny wylew spowodował jego awarię, odkryłem nagle, że stanowi on zasadniczą część naszego wewnętrznego komputera, niezbędny przekaźnik pomiędzy mózgiem i systemem nerwowym. Dawniej mówiło się, że „człowieka szlag trafił”,

i umierało się, po prostu. Postęp technik reanimacyjnych przedłużył mękę. Pacjent nie umiera od razu, ale ulega temu, co po angielsku zwie się locked-in syndrome – jest sparalizowany od stóp do głów, zamknięty wewnątrz siebie samego, z nietkniętym umysłem i mrugającą lewą powieką jako jedynym środkiem komunikacji ze światem zewnętrznym.

Bezpośrednio zainteresowany dowiaduje się ostatni o szczodrobliwościach losu. Zanim naprawdę zdałem sobie sprawę z rozmiarów nieszczęścia, przeleżałem dwadzieścia dni w komie i kilka tygodni we mgle. W pokoju numer 119 w nadmorskim szpitalu w Bercku nad brzegiem kanału La Manche, do którego właśnie przenikają poranne promienie słońca, znalazłem się dopiero pod koniec stycznia.

Zwykły poranek. O siódmej sygnaturka rozpocznie odmierzenie czasu, kwadrans za kwadrans. Po nocnej przerwie z moich obłożonych oskrzeli znów zaczyna wydobywać się głośnie rżenie. Zaczynam cierpieć z powodu rąk zaciśniętych na żółtym prześcieradle, ale nie wiem, czy są rozgorączkowane, czy lodowate. Żeby przeciwdziałać zdrętwieniu, usiłuję rozkurczu, co pozwala na przesunięcie ramion i nóg o kilka milimetrów. To często wystarczy, by zmniejszyć ból.

Skafander mniej ugniata i duch może ulecieć jak motyl. Tyle jest do zrobienia. Można podróżować w przestrzeni lub w czasie, w stronę Ziemi Ognistej albo na dwór króla Midasa.

Można złożyć ukochanej wizytę, przytulić się i pogłaskać jeszcze uśpioną twarz. Można budować zamki w Hiszpanii, wyruszyć po Złote Runo, odkrywać Atlantyde, snuć wspomnienia z dzieciństwa lub marzenia dorosłych.

Chwila przerwy, rozkurcz. Muszę teraz przemyśleć początek tego dziennika bezwładnej podróży, żeby być gotowym, kiedy wysłanniczka wydawcy zjawi się, by notować pod dyktando, litera po literze. Każde zdanie ugniatam w głowie po dziesięć razy, odrzucę słowo, dorzucę przymiotnik i uczę się tekstu na pamięć, paragraf po paragrafie.

Siódma trzydzieści. Dyżurna pielęgniarka przerywa bieg myśli. Zgodnie z opracowanym szczegółowo rytuałem podnosi zasłonę, sprawdza kroplówkę i włącza telewizor, bym mógł obejrzeć dziennik. Na ekranie film rysunkowy: historia najszybciej na Zachodzie skaczącej ropuchy. A gdyby moje najskrytsze pragnienie polegało na chęci zmienienia się w ropuchę?

Fotel

Nigdy nie widziałem w mym pokoju tylu białych fartuchów. Pielęgniarki, salowe, pani od kinezyterapii, pani psycholog, pani od terapii zajęciowej, pani neurolog, stażyści i nawet sam ordynator, cały szpital się zjawił. Kiedy weszli i dopchnęli to urządzenie aż do mojego łóżka, najpierw myślałem, że pojawił się nowy lokator. Przebywałem w Bercku od kilku tygodni i każdego dnia odzyskiwałem jakąś porcję świadomości, ale nie skojarzyłem, że pomiędzy fotelem inwalidzkim i mną może zachodzić jakiś związek.

Nikt nie przedstawił mi rzeczywistego położenia, więc na podstawie garści pochopnych plotek uzyskałem pewność, że bardzo szybko odzyskam swobodę ruchów i mowę.

Mój niespokojny duch poczynił już nawet tysiące projektów: napisanie powieści, sztuki teatralnej, podróżowanie, wprowadzenie do handlu koktajlu owocowego

według własnego przepisu. Nie proście, żebym wam go podał – już zapomniałem. Szybko mnie ubrali. „To dobrze robi na samopoczucie” – stwierdziła uroczyście pani neurolog. Po żółtym nylonowym kaftanie włożenie kraciastej koszuli, starych spodni i obszernego swetra stałoby się prawdziwą przyjemnością, gdyby nie koszmar ubierania. A raczej widoku nie kończących się wysiłków oblekania ciała sflaczałego, bezwładnego, które pozostało mi tylko po to, by sprawiać ból.

Kiedy w końcu już byłem gotowy, rytuał mógł się rozpocząć. Dwóch łapiduchów schwyciło mnie pod ramiona i za nogi, podniosło z łóżka i posadziło na fotel, bez przesadnej delikatności. Ze zwykłego chorego stałem się inwalidą, podobnie jak w walce byków nowicjusz awansuje na toreadora. Niemalże rozległy się brawa. Moi opiekunowie przewieźli mnie po piętrze, żeby sprawdzić, czy pozycja siedząca nie wywoła jakichś nie kontrolowanych spazmów, ale ja tkwiłem w fotelu nieruchomo, całkowicie zajęty stopniem brutalności, z jakim załamały się me plany na przyszłość. Musieli tylko podłożyć mi poduszkę pod głowę, ponieważ kiwała się jak głowy kobiet afrykańskich, kiedy zdejmie się im piramidy pierścieni noszonych przez lata na szyjach. „Do twarzy panu z fotelem” – stwierdziła ergoterapeutka, z uśmiechem usiłującym zabarwić jej słowa dobrą nowiną, chociaż dla mnie zabrzmiały one jak wyrok. Straszliwą prawdę pojąłem w mgnieniu oka. Równie oślepiającą jak eksplozja

bomby atomowej. Ostrzejszą niż nóż gilotyny. Poszli sobie, trzy salowe ułożyły mnie na łóżku, a ja pomyślałem o gangsterach, którzy upychają w bagażniku trupa świeżo podziurawionego kulami. Fotel stał w kącie, opuszczony, z moim ubraniem rzuconym na oparcie z granatowego skaju. Przed wyjściem ostatniego białego fartucha zrobiłem znak, żeby cicho wyłączył telewizor. Dawali *Cyfry i litery*, ulubiony program mojego ojca. Na chodnikowych płytach od rana słyszeć deszcz.